NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszedzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 16 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 19 marca 1921. Nr. 12.

W przeddzień ostatecznego rozstrzygnięcia...

W dniu 20. marca b. r. stwierdzi Górny Śląsk, że był, jest i zostanie polskim!...

ODEZWA

posła Korfantego do Górnoślązaków!

RODACY!

Dzień walnej bitwy o szczęście i wolność naszą, o przyszłość dzieci, wnuków i wszystkich po nas następujących pokoleń został nareszcie wyznaczony. D. 20. marca 1921 r. lud górnośląski z kartą wyborczą w ręku jako jedyną bronią, zrzuci z siebie jarzmo wiekowej niewoli pruskiej i jako pan samowładny obejmie władzę na Górnym Śląsku w swoje ręce i stanie się panem swej własnej ziemi.

Oznaczenie terminu plebiscytowego nie odbyło się bez zgrzytu i bez ciężkiego zawodu, sprawionego nam przez tych, do których zwracaliśmy się z pewnem zaufaniem, jako do stróżów wolności ludów, sprawiedliwości i idei demokratycznej. Rada najwyższa koalicyi w nocie z d. 27. grudnia r. 1920, wystosowanej do rządu polskiego i rządu niemieckiego, postanowiła, że obcy przybysze z Niemiec którym wbrew protestu ludu górnośląskiego przyznano prawo głosowania mają przybyć na Górny Śląsk dla oddania swoich głosów dopiero po głosowaniu. dokonanem przez stałych mieszkańców Górnego Śląska. Było to uroczyste przyrzeczenie, dane nam w imieniu mocarstw zwycięzkiej koalicyi, a lud polski na Górnym Śląsku tej uroczystej obietnicy w zupełności zaufał. Wierząc słowom dzisiejszych kierowników polityki światowej, lud polski o jedno już tylko zabiegał, aby termin plebiscytu czemprędzej został wyznaczony.

Wbrew powszechnemu oczekiwaniu najwyższa rada koalicyjna d. 21 lutego rb. na konferencyi w Londynie bez zrozumiałej przyczyny, przekreśliła uroczyste obietnice nam dane i postanowiła, że emigranci mają w ten sam dzień głosować, co stali mieszkańcy Górnego Śląska. Na Górnym Śląsku nie zaszło nic, coby usprawiedliwiało potrzebę takiej zmiany postanowień i niedotrzymania danych nam obietnic. Przeciwnie: liczne transporty broni, całemi wagonami przesyłanej przez niemców na G. Śląsk, podkreślają raczej stanowisko polskie, aby emigranci nie głosowali w ten sam dzień, co tubylcy.

Dlaczegoż lud górnośląski żądał oddzielnego głosowania emigrantów? Nie dlatego, ażeby sobie ułatwić zwycięstwo nad nielicznymi u nas niemcami, bo swego tryumfu lud górnośląski jest pewny. Jego zwycięstwo dziś jest murowane. Ale lud górnośląski pragnął, aby ta wiekopomna walka górnośląska odbyła się w ładzie i porządku, aby odbyła się bez rozlewu krwi, w sposób godny cywilizowanego narodu. Obcy z Niemiec przybysze, przepojeni przez wszechniemców duchem nienawiści, duchem pruskiego barbarzyństwa z r. 1914, zjawiwszy się w wielkich gromadach na G. Śląsku i otrzymawszy tutaj nazwożoną broń od pokrewnych im duchem niemców, stanowią poważne niebezpieczeństwo dla porządku publicznego i spokojnego przeprowadzenia wielkiego głosowania ludowego.

Lud polski podejrzewa odwiecznych swoich ciemięzców i wyzyskiwaczy, że przekonawszy się, że Górny Śląsk jest dla nich już stracony, świadomie dążą do wywołania zaburzeń, ażeby do spokojnego odbycia plebiscytu nie dopuścić i w wywołanym zamęcie przynajmniej część G. Śląska dla Prus uratować.

Zawyła z radości prasa niemiecka z powodu postanowienia londyńskiej rady najwyższej i zaczerpnęła otuchy do dalszej walki o Górny Śląsk.

Przedwczesna radość niemiecka! Daremne jej nadzieje! Lud górnośląski w olbrzymiej swej większości, jest tak pewien swego zwy-



W przeddzień ostatecznego rozstrzygnięcia: Najwybitniejszy działacz polski na Górnym Śląsku, poseł Wojciech Korfanty

cięstwa, czuje się tak już panem swej ziemi ojczystej, że nie może doczekać się dnia walnej rozprawy, aby nareszcie uwolnić się od obcego najeźdźcy i brutalnego wyzyskiwacza. Czując mocarną swą siłę olbrzyma, będąc pewnym świetnego zwycięstwa i tryumfu wymiaru dziejowej sprawiedliwości, lud górnośląski nie pozwoli się sprowokować do żadnych czynów nierozważnych. Jak dotychczas, tak i w tej dziejowej chwili, zachowa zimną krew i karność żołnierską spełniając posłusznie rozkazy swoich przywódców. Ci zaś, którzy odpowiedzialność ponoszą za zmianę postanowień najwyższej rady sojuszniczej, mają obowiązek uczynić wszystko, aby pod żadnym warunkiem spokój i ład publiczny nie został zamącony i aby lud górnośląski swobodnie i bez nacisku mógł dać wyraz swej woli nieugiętej połączenia się na wieki z Macierzą Polską i wyzwolenia się nareszcie z pod ciężkiego jarzma pruskiego.

Bracia rodacy! Siostry górnoślązaczki! Jako syn ludu górnośląskiego, syn takiego samego robotnika, jakich was są setki tysięcy na Górnym Śląsku, któremu dane było przez Opatrzność Boską i przez władze wyższe Polski wyjść na waszego przywódcę i kierownika ostatecznej waszej walki o wolność, odzywam się do was: zachowajcie spokój i bądźcie podporami ładu i porządku publicznego. Jako człowiek, który odrzucał wszelkie pokusy niemieckie przez lat 20, znosząc biedę, udrękę, prześladowania i więzienie pruskie, większą część swego życia poświęcił niezmordowanej walce o wyzwolenie ludu górnośląskiego, wołam do was: stańcie wszyscy, jak jeden mąż, ramię przy ramieniu, do tej walki o ostateczne nasze wyzwolenie!

Każdy z was niemal należy do organizacyi, służącej sprawie narodowej. Dajcie posłuch przełożonym władzom waszych organizacyi, któreście sami wybrali. Tylko zgoda i jedność bezwzględna, karność i posłuszeństwo, zapewnią nam tryumf tak wielkiego zwycięstwa, że nawet nieżyczliwi nam mocarze tego świata, uchylić będą musieli czoła przed potężnym wyrazem woli ludu górnośląskiego. Niemasz takiej siły na świecie, któraby śmiała bezkarnie nie uszanować woli naszej.

Wy zaś, których wola szerokich warstw ludowych postawiła na czele potężnych organizacyi społecznych, gospodarczych i kulturalnych, którzy jesteście kierownikami tego ludu i jego cieszycie się zaufaniem, przejmijcie się na te ostatnie tygodnie jedną tylko myślą i jedną tylko wolą: dołożymy wszelkich sił, pracując dniem i nocą, ażeby wyzwolić politycznie i społecznie szerokie masy braci i sióstr naszych i połączyć je z Polską.

A teraz, siostry i bracia, wszyscy do szeregu, wszyscy na szańce. Jesteśmy panami Górnego Śląska, a plebiscyt ma być tylko prawnem potwierdzeniem obecnego stanu rzeczy. Podstępny i srogi wróg niezmordowanie podchodzi nasze posterunki i żadną bronią nie gardzi. Przekupstwo, oszczerstwo, teror i nadużywanie władzy, to środki walki jego. Miejcie się na baczności, nie ufajcie i nie wierzcie mu, bo znacie dostatecznie hydrę germańską.

Pomni, że ponosicie odpowiedzialność za los i szczęście przyszłych pokoleń górnośląskich, idźcie teraz na święty bój, a dzień 20 marca będzie dniem największego zwycięstwa ludu górnośląskiego, a to zwycięstwo będzie nasze, bo nasza sprawa jest święta i sprawiedliwa. Bóg sprawiedliwy czuwa nad wami i błogosławić będzie wielkim zapasom waszym. Przy Jego pomocy z dniem 20 marca r. 1921: wszystkie dzwony w Polsce zadzwonią. Radujmy się z braćmi! lud górnośląski wyzwolił się i na wieki połączył się z Macierzą Polską!

Bytom, 23 lutego 1921 roku.

WOJCIECH KORFANTY, poseł polski i komisarz plebiscytowy.

W przeddzień ostatecznego rozstrzygnięcia.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

Dzień 20 marca b. r. ma być dniem przełomowym w dziejach naszego narodu. Lud Górnego Śląska ma wyrazić swą wolę w sprawie przynależności państwowej.

Będzie to walka zapamiętała, na śmierć i życie, do której stajemy z ufnością w świętość i słuszność naszej sprawy i z przeświadczeniem, że nie zaniedbaliśmy niczego, o czem, w tej decydującej chwili pamiętać było naszym obowiązkiem. Zdobyliśmy się na najdalej idące wysiłki, aby ratować te miliony polskiego ludu z krzyżackiej niewoli, czy nasze usiłowania uwieńczy pomyślny skutek, okaże to już najbliższa przyszłość.

Na zacięty opór przeciwnika, nie przebierającego w środkach, cieszącego się nadto poparciem niektórych sfer, dziś decydujących, musimy być przygotowani. Wiary i ufności w ostateczne zwycięstwo dodaje nam słuszność naszej sprawy i hart ducha i uświadomienie narodowe ludu śląskiego, pragnącego gorąco zespolenia z Macierzą. W grę mogą przecież wejść różne nieprzewidziane niespodzianki. Wróg nasz jest przygotowany dobrze do tego, aby do ostatniej kropli krwi bronić odebrania sobie tej zagrabionej nam dzielnicy Piastowskiej, o który ego popiera stanowisko Anglii, odstępujące daleko od głoszonej przez nią neutralności i poszanowania dla zasady samostanowienia narodu o swym losie.

Dzień plebiscytu, Niedziela Palmowa, rozpoczynająca tydzień przed Świętem Zmartwychwstania Pańskiego, jest jednak dobrą wróżbą dla nas. W dniu tym skruszy lud śląski pęta krzyżackiej niewoli, gnębiące go od lat szeregu i rozpocznie nową erę Zmartwychwstania narodowego do nowego życia w składzie wolnej i zjednoczonej Polski.

Sercem i duszą byliśmy zawsze przy nich, dzieliły nas jedynie słupy graniczne, które, da Bóg, runą na zawsze w Niedzielę Palmową roku 1921. Będzie to data, mogąca na kartach naszych dziejów zająć godnie miejsce obok pamiętnego dnia 3 Maja 1791. roku.



W przeddzień ostatecznego rozstrzygnięcia. Agitacyjna publikacya niemiecka przedstawiająca co czeka Górny Śląsk po przyłączeniu do Polski.



W przeddzień ostatecznego rozstrzygnięcia: Afisz plebiscytowy, ilustrujący polską potulność i zachłanność niemiecką.

Harding i Wilson.

Ze zmianą na fotelu prezydenta Stanów Zjednoczonych miała zajść również zmiana i w dotychczasowej polityce Ameryki, zwłaszcza o ile to dotyczy Europy. Tak przynajmniej zapowiadano a szczególniej Niemcy przywiązywali do niej wielką wagę, tem też tłómaczono ich ociąganie się z ostateczną odpowiedzią na żądania Koalicyi. Czekali na ukonstytuowanie się nowego gabinetu amerykańskiego spodziewając się z tamtej strony poparcia.

Pokazuje się przecież, że się zawiedli. Gabinet już funkcyonuje. Harding dał zupełnie nie dwuznacznie do zrozumienia, że Stany Zjednoczone, pomimo zmiany dotychczasowego rządu stoją solidarnie z resztą mocarstw sprzymierzonych na stanowisku, że postanowienia traktatu wersalskiego muszą być wykonane w zupełności.

Zmiana kierownika rządu Stanów Zjednoczonych może mieć więc znaczenie tylko dla wewnętrznych stosunków amerykańskich, co się zaś tyczy zewnętrznych republikanie pozostaną wierni zasadom, przyjętym przez swych poprzedników demokratów z Wilsonem na czele. Dała tego dowód Ameryka, nie wycofując bynajmniej reszty swych wojsk użytych do okupacyi niemieckich terytoryów.

Między rządem Hardinga i Wilsonem istnieje jedynie różnica w kwestyi zapatrywania na działalność Ligi Narodów, ale także głównie tylko z punktu, o ile to dotyczy amerykańskich wewnętrznych stosunków. Republikanie zatem i Harding uważają powołanie jej do życia za sprzeczne ze swymi interesami mając bowiem w swym programie ścisłe kierowanie się doktryną Monroe'go „Ameryka dla Amerykanów“ wykazują zupełnie słusznie, iż ktoś obcy mógłby znaleźć pretekst do wtrącania się w ich wewnętrzne sprawy, a tego sobie bynajmniej nie życzą.

Liga Narodów, mające być najwyższym trybunałem światowym uposażona została przez twórców w tak daleko idące kompetencye, że wolno jej nawet, co jest poniekąd jej obowiązkiem, interesować się tem, co się dzieje wewnątrz państw, do niej należących.

I tu właśnie leży różnica zapatrywań Hardinga i Wilsona. Wilson tworząc Ligę zapomniał widocznie, że może to być łatwo miecz, którego ostrze zwróci się kiedyś przeciw Ameryce. A powodów nie brak, choćby tylko uwzględniając kwestyę murzyńską. Pamiętając o tem natomiast dobrze repub-



Harding i Wilson: Prezydent Stanów Zjednoczonych Harding z żoną i ojcem.

likanie obawiający się, że mógłby się znaleźć ktoś, kto zaproponowałby na posiedzeniu Ligi Narodów wglądnięcie w tę sprawę i jej uregulowanie. W zasadzie godzi się przecież Harding na koncepcyę podobnego Lidze Narodów najwyższego trybunału światowego, lecz z zakresem działania... wygodniejszym dla Ameryki.

Zmiana zatem w kierownictwie rządów Stanów Zjednoczonych o ile to dotyczy zresztą ich stosunków nie może być tak wielką jak się tego Niemcy spodziewali, mający nadzieję, że Harding oświadczy



Harding i Wilson: Prezydent Wilson podczas posiedzenia gabinetu w dniu 15 lutego b. r.

się otwarcie na ich korzyść wbrew intencyom reszty państw koalicyjnych.

Nie mogło to nastąpić już choćby z tego tylko powodu, że stosunki nawiązane przez Wilsona z państwami koalicyjnemi zbyt ściśle łączą się z interesami amerykańskimi, które poniosłyby nieobliczalne szkody materyalne na wypadek ich zerwania. A Amerykanin jest przedewszystkiem człowiekiem politycznym i w każdym razie uwzględniającym swe interesy.

Czy zatem Wilson, czy Harding zajmować będzie fotel prezydyalny w Waszyngtonie, stanowisko Ameryki do reszty świata, a zatem i do Europy, wybitniejszej nie może uledz zmianie.

Odznaczenie bohaterów.

W ubiegłym tygodniu Częstochowa była widownią podniosłej uroczystości wojskowej odznaczenia krzyżem zasługi „Virtuti militari" kap. Janeckiego, podpor. Janowskiego i wręczenie tegoż krzyża ojcu ś. p. podchor. Mikołajczyka. Po nabożeństwie w kościele garnizonowym i pięknej, serdecznej przemowie kapelana wojskowego ks. Peche, na placu przed Magistratem uszeregowały się wszystkie oddziały miejscowego garnizonu.

Uroczystość rozpoczęła się odczytaniem rozkazu majora Lawdańskiego przez adjutanta por. Budzyńskiego o odznaczeniu krzyżem zasługi oficerów 27 p.p.

Następnie major Lawdański przy dźwiękach narodowego hymnu orkiestry wojskowej przypiął krzyże „Virtuti militari" kap. Janeckiemu i podp. Janowskiemu, oraz wręczył krzyż zasługi ojcu zmarłego od ran ś. p. podch. Mikołajczyka. Poczem major Lawdański wzniósł okrzyk na cześć udekorowanych, który został podjęty z entuzyazmem przez wojsko i licznie zgromadzoną ludność Częstochowy, przy dźwięku mazurka Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła!" Ojcu zmarłego bohatera posypały się wówczas, jak grad, łzy perliste...

Uroczystość na placu magistrackim zakończyła się defiladą oddziałów wojskowych przed nowoudekorowanymi kawalerami krzyża „Virtuti militari". Na czele defilady kroczył korpus oficerski, prowadzony dzielnie przez kapitana Warmozińskiego.

Po defiladzie w kasynie oficerskiem odbyło się uroczyste przyjęcie, urządzone na cześć udekorowanych bohaterów przez grono oficerów B. Z. 27 p. p. Pierwszy toast wzniósł major Lawdański na cześć kap. Janeckiego i podpor. Janowskiego.



Odznaczenie bohaterów: Komendant garnizonu częstochowskiego major Lawdański dekoruje krzyżami „Virtuti militari" kapitana Janeckiego i podpor. Janowskiego.

Piękną i podniosłą przemowę wygłosił do udekorowanych p. starosta Kuhn, podnosząc w gorących słowach zasługi bohaterskich obrońców Ojczyzny, a zakończył przemowę zwrotem: „Niechże będzie dla tych nowopasowanych rycerzy cześć i chwała!"

Następnie wspaniałą przemowę wygłosił prezydent miasta dr Marczewski, zaznaczając, że masy ludzkie są olbrzymą siłą drzemiącą, ale te masy nie tworzą przyszłości. Jednostki, które potrafią te masy skierować ku świetlanej przyszłości ponoszą całkowitą zasługę.

Krótką lecz serdeczną przemowę na temat pomyślnej współpracy władz cywilnych i wojskowych wygłosił prezes Sądu Okręgowego p. Mieczysław Kokowski.

W odpowiedzi na toasty kap. Janecki w krótkiej serdecznej przemowie opisał fragment bitwy, jak jego oddział ze wszystkich stron był otoczony przez nieprzyjaciela i jak do żołnierzy przemówił: „Chłopcy, my się musimy przerwać do domu!..."

Z grona oficerów pierwszy przemawiał por. Wacław Gogut, kawaler krzyży św. Jerzego z legionów wschodnich i korpusu gen. Dowbór Muśnickiego, wznosząc na zakończenie przemowy toast na cześć wychowawców odznaczonych krzyżem zasługi — majora Lawdańskiego, oraz władz cywilnych w osobach p. starosty Kuhna, prezydenta miasta dra Marczewskiego i prezesa Sądu Okręgowego p. M. Kokowskiego.

Adjutant por. Budzyński na zakończenie odczytał list OO. Paulinów z błogosławieństwem J. E. ks. Biskupa Krynickiego dla udekorowanych kawalerów.



Odznaczenie bohaterów: Uczestnicy przyjęcia urządzonego na cześć kawalerów orderu „Virtuti militari" w Częstochowie, kapitana Janeckiego i ppor. Janowskiego.

Inauguracya sezonu piłki nożnej w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 9).

Zainteresowanie kół sportowych naszego miasta piłką nożną rośnie z każdym rokiem. Świadczy o tem coraz liczniejsza frekwencya na boisku „Cracovii" gdzie w ubiegłą niedzielę zainaugurowano tegoroczny sezon.

Głównym punktem programu był match „Cracovii", należącej do klubu klasy pierwszej z drużyną drugorzędnego klubu „Wawel". Cracovia ma już swą ustaloną reputacyę, choć brak jej wielu najdzielniejszych graczy, niemniej jednak i „Wawel" choć należący do klubu klasy drugiej więc słabszych, w tym składzie jaki wystąpił w niedzielę, przedstawia się bardzo dodatnio i rokuje piękne nadzieje na przyszłość.

„Cracovia" wystąpiła nie całkiem w dobrym składzie, lecz obecność Kałuży, Cikowskiego, i Synowca nasuwała z początku przypuszczenia, że „Wawel" jako drugorzędna drużyna nie powinna się porywać do tak ryzykownych zawodów, lecz niestety, myśli te całkiem zawiodły, gdyż wynik 4.0 na korzyść „Cracovii" nie jest bynajmniej zwycięstwem lecz porażką. Spodziewaliśmy się od „Cracovii" lepszego wyniku, chociaż gra „Cracovii" była ładna to absolutnie nie można przypuszczać ażeby w takiej sile przeciwstawiła czoło klubom zagranicznym, czego w każdym razie od „Cracovii" musimy wymagać

Spodziewamy, się że praca p. Pozsoniego trainera nie pójdzie na marne i w krótkim czasie osiągnie pożądane rezultaty.

„Wawel" jako drugorzędna drużyna przedstawia się bardzo dobrze, a ciągłe trenowanie może w każdym razie dać szanse wejścia w skład drużyn pierwszej klasy. Stosunkowo forma „Wawelu" przedstawia się bezwzględnie lepiej jak. „Jutrzenki" choć klubu pierwszorzędnego.

Match niedzielny poprzedziły rozgrywki klubów „Cracovia II" — „Korona" wynik 8:0 na korzyść „Cracovii" świadczy o całkowitej jej przewadze.

Ludo.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

I.

— Córko moja! córko moja! uspokój się, nie wolno ci mówić w ten sposób. Potrzebujesz pociechy duchowej, nie pozwalaj więc opanowywać się gniewowi, bo byłabym zmuszona cię ukarać.

— On mnie oszukał moja matko. Niech mu Bóg przebaczy, bo ja nie mogę.

— Przebaczysz mu, przebaczysz. Czy on ci składał przysięgi?

— Tak, to były przysięgi święte złożone w kościele. Miał się ze mną ożenić, choć chrześcianinem był i pochodził z możnej szlachetnej rodziny.

— Za wielka przestrzeń dzieliła was moja córko. Więc wierzyłaś mu jednak aż...

— Aż mnie zdradził, moja matko. Znaleziono go rannego na progu domu kochanki.

— Czy umarł?

— Nie, on żyje.

— Czy widziałaś go później.

— Nie. Chcąc go widzieć byłabym zmuszoną iść do domu tej kobiety. Tam go bowiem zaniesiono

— Kto był ten, co go ranił?

— Jeden z jego najlepszych przyjaciół, rywal jego hrabia Robert Allmena.

— A cóż się stało z tym ostatnim?

— Wtrącono go do więzienia. Sprawa jego właśnie wytoczona, kiedy przybyłam tutaj.

— Co za straszne rzeczy?

— Okropne, moja matko. Oh! jaki to był straszny dzień dla mnie? Uciekłam z domu mojego ojca z Różą, służącą i błąkałyśmy się wśród nocy narażone na tysiączne niebezpieczeństwa po ulicach Rzymu jak dwie szalone istoty... jak awanturnice...

— I ty, mogłaś uczynić to, moja córko?

— Człowiek ten prześladował mnie na każdym kroku... musiałam uciekać przed nim, bo inaczej byłabym zgubioną.

— A cóż się potem stało? badała dalej przełożona, zainteresowana słowami nowicyuszki.

Siostra Gracya milczała chwilę z głową nisko spuszczoną na piersi.

Najprzykrzejszem z jej opowiadania było wyznanie, że tej nocy fatalnej w której uciekła z ulicy Pranto, udała się do mieszkania Lambertiniego, gdzie jak żebraczka uliczna napróżno czekała na niego pod bramą jego domu.

— Nocy tej, moja matko — zaczęła przyciszonym głosem, cierpiałam nadludzko, byłam wprost nieprzytomna z bólu i rozpaczy...

— Gdzie się udałaś następnie, mów, moja córko, wyrzekła nakazującym głosem przełożona widząc jej wahanie.

— Do niego...

— Jakto? sama?

— Z Różą. Zresztą, wówczas wierzyłam jeszcze w niego bez granic. Miał mnie poślubić... kochaliśmy się oboje... a przytem tamten... ten prześladowca coraz większą napełniał mnie obawą..

— Mów dalej...

— Nie zastałam hrabiego.

— Mój Boże! westchnęła przełożona.

— Stałyśmy długo z Różą w bramie jego mieszkania... prawie aż do świtu... W końcu otworzono mi i portyer powiedział nam, że jego pana niema w domu.

— Odeszłyście więc?

— Nie. Gdzież miałyśmy się udać? Do kogo? Czekałyśmy więc dalej z Różą na jego powrót.

— I on nie przyszedł wcale?

— Nie przyszedł.

— Czy wyjechał?

— Nie, tej nocy właśnie został raniony.

— Tej nocy! to okropne!

— Straszne, straszne, moja matko! Dowiedziałam się o tem stojąc w bramie domu od służącego... Powiedziano mi wówczas, że hrabia znajduje się u niej, u hrabiny Loredana, u swojej kochanki... Nie chciałam więc tam się udać.

— Dobrze uczyniłaś, moja córko.

— Ale ileż ja wycierpiałam, moja matko, tego nikt pojąć nie może. Wszystkie moje najdroższe nadzieje zniszczone zostały w jednej chwili. Pozostałam, moja matko, bez ojca, bez narzeczonego, bez domu rodzinnego...

— Boże mój! Boże! szepnęła przełożona, przejęta mimowoli tym smutnym, rozpaczliwym dramatem...

Siostra Gracya zaś, stała ze spuszczonemi w dół oczyma, pogrążona w smutnych myślach i wspomnieniach. Twarz jej jednak nie zdradzała cierpienia, źrenice były suche. Widać było, że potrafi znieść nawet najgorsze tortury moralne bez łez, bez wyrzekań i poddania się. I choć dusza jej wzmagała się boleśnie pod dotkliwym ciosem zdrady doznanej, duma jej wrodzona nie pozwalała uznać się za upokorzoną.

— Cóż uczyniłaś następnie? zapytała znowu przełożona.

— Nie umiem i nie mogę, moja matko opisać ci stanu mojej duszy w owej fatalnej chwili. Czułam tylko, że jestem zgubiona. Miałam tylko przy sobie tę biedną służącą, wieśniaczkę nieświadomą i prostą — a jednak to ona mnie uratowała.

— Ona?

— Tak. Bóg posługuje się niekiedy takiemi pokornemi istotami. Róża znała pewne schronisko dla kobiet osamotnionych, schronisko prawie klasztorne. Udałyśmy się tam. W pierwszej chwili te panie przyjąć nas nie chciały, lecz kiedy dowiedziały się, że jestem żydówką i chcę przyjąć wiarę chrześciańską, ulitowały się nademną i pozwoliły nam zostać. Pozostałam tam więc dręczona wielkim bólem i lękiem.

— Lękałaś się tamtego człowieka?

— Tak. Byłam zrospaczona zdradą Lambertiniego i lęk mnie okropny ogarniał przed tamtym potworem.

— I długo pozostałaś w tym domu?

— Nie. On by mnie tam wykryć potrafił. Byłam pewną, że poszukuje mnie już gorliwie.

— Do kogo więc udałaś się o pomoc.

— Do kardynała. Kazał mnie zawieść do Torre del Spechi, gdzie pozostałam czas jakiś. Ale i tam nie byłam bezpieczna. W kilka dni po mojem przybyciu do klasztoru, zaczęli się zjawiać jacyś ludzie podejrzani, którzy szpiegowali pod murami.

— A więc to było jawne i niczem niezwalczone prześladowanie — zawołała z oburzeniem przełożona.

— Okropne, straszne prześladowanie! Ale Bóg czuwał nademną.

— Jak mi wiadomo, kilkakrotnie przenosiłaś się z klasztoru do klasztoru.

— Byłam w trzech klasztorach w Rzymie, następnie w Rovigo i Spoleto. Podróżowałam w ubraniu klasztornem, zawoalowana, w nocy i zawsze napróżno.

— Zawsze byłaś odkrytą przez niego?

— Tak.

— Czy nie była grą wyobraźni twojej.

— Nie. Bo o jego poszukiwaniach nie wiedziałam wcale.

— Jakże to?

— Zawsze przełożona spostrzegała, że ktoś podejrzany kręci się koło klasztoru i stara się przedostać za mury i natychmiast wysyłała mnie gdzieindziej.

— Cóż dalej? zapytała zaciekawiona przełożona.

— Zwróciłam się więc do księdza kardynała i powiedziałam mu: „Proszę mi wynaleźć miejsce, w którem zabezpieczona będę na zawsze od świata, schronienie, z którego już nigdy wyjść nie będę mogła, gdzie nikt i nigdy wstępu mieć nie będzie. Schronię się tam, zostanę zakonnicą, stanę się umarłą dla ludzi żyjących.

— Cóż ci odpowiedział?

— Jeżeli tego chcesz, zaraz moje dziecko odeszlę cię do Neapolu do „Zagrzebanych żywcem". Tak się stało moja matko, i oto znalazłem się tutaj.

— Niech cię Bóg pocieszy moje dziecko. Młodość twoja była smutna. Bądź spokojną, tu ci nic grozić nie będzie.

— Czy jesteś tego pewną, moja matko?

— Tutaj estś się istotą umarłą moje dziecko — umarłą moralnie i fizycznie.

Mój prześladowca nie odnajdzie mnie tutaj? zapytała niespokojnie siostra Gracya.

— Jakże by mógł to uczynić?

— Jeżeli nabierze podejrzeń i wpadnie na ślad.

— Wejść do klasztoru będzie mu wzbronione.

— Oh! gdyby to było możliwe!

— Z wszelką pewnością tak jest moje dziecko. Tutaj nikt nie wchodzi.

— A jeżeli uda się do wikaryusza ojca świętego.

— Nie pójdzie. Gdyby nawet poszedł nie uzyska pozwolenia na wejście do naszego klasztoru.

— Oh! moja matko! zawołała siostra Gracya z wdzięcznością klękając przed nią i całując jej rękę.

W tej chwi zapukano do drzwi celi.

Przełożona powstała i sama pospieszyła otworzyć. Przybyła była siostrą furtyanką, która cicho szepnęła kilka słów przełożonej, a ta wydała rozkaz krótki i stanowczy poczem powróciła do celi, gdzie siostra Gracya stała zamyślona ukrywszy twarz w dłoniach.

— Córko moja — zbudziła ją przełożona.

— Słucham cię, moja Matko.

— Czy umysł twój już spokojniejszy?

— Tak, moja matko.

— Czujesz się więc silniejszą?

— Co znaczyć mają twoje słowa? zapytała niespokojnie nowicyuszka drżącym głosem.

— Nie przestraszaj się. Mam wiadomość dla ciebie.

— Wiadomość? Jaką?

— Widzę, że znowu jesteś poruszoną i zaniepokojoną. Widocznie nie jesteś jeszcze dosyć silną, więc ci nic nie powiem.

— Przez litość moja matko, proszę mówić!

— Czy przyrzekasz mi być spokojną?

— Tak.

— Czy przyrzekasz mi to w imię Chrystusa?

— Przyrzekam. Odpowiedziała poważnie siostra Gracya.

Zaległo chwilowe milczenie, poczem przełożona podjęła.

— Przybył ktoś, kto chce się z tobą widzieć

— Tutaj?

Tak, tutaj!

— Zakonnica?

— Nie, osoba ze świata.

— Osoba ze świata? zawołała nowicyuszka z nagłym błyskiem w oczach? Któż to być może?

— Moja córko — upominała przełożona, a gdzież jest ten obiecywany spokój i zimna krew.

— Oh! moja matko! — jęknęła rozpaczliwie siostra Gracya. Tak się lękam, To „on", to „on" — nieprawdaż?

— Kto, on?

— Markus Henner, ten potwór! ten nikczemny człowiek! ten mój prześladowca!

— Powiedziałam ci już, że on nigdy nie przestąpi progu naszego klasztoru.

— Więc kto mnie szuka?

— To nie on.

— Któż więc?

— Kobieta, moje dziecko.

— Kobieta?

— Tak. Róża, twoja służąca, ta biedna kobieta, która się tak wiernie opiekowała tobą!

Westchnienie ulgi wybiegło z piersi siostry Gracyi.

— Ah! to ona!

— Jest na dole.

Siostra Gracya milczała.

— Czy chcesz ją widzieć — zapytała przełożona.

Nowicyuszka odparła spokojnie, lecz stanowczo.

— Nie moja matko.

— Dlaczego?

— Bo...

— Powiedz mi powód twojej odmowy.

— Moja matko!

— Ja go chcę znać.

— Nie chcę mieć żadnej styczności ze światem.

— Rozumiem. Ale to jest jedyna istota, która cię kochała.

— Uczucia ludzkie są mi dziś obce.

— To dobrze, ale ta kobieta pragnie może widzieć cię po raz ostatni.

— Nie moja matko. Pożegnałam ją już wchodząc tutaj. Nie mam jej nic do powiedzenia, ani też usłyszeć nic od niej nie chcę.

— Kto wie, czy ta biedna kobieta nie jest w potrzebie, może ona z prośbą przychodzi do ciebie, moje dziecko.

— Dałam jej wszystko, co posiadałam.

— Więc nie chcesz jej widzieć?

— Nie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ.

36 I.

Bo Stasia nie łudziła się i wiedziała, że tylko posag jej i majątek ojca, przyciągnął do niej tego wstrętnego karyerowicza od którego teraz uwolnioną zostanie.

I w duszy cieszyła się, że ten majątek, który zawsze jej był obojętny i niemiły zachwiany został obecnie i że tym sposobem ułatwione jej zostanie zbliżenie się do Franka!

— Co mnie obchodzą te stracone pieniądze — myślała — zabierając się w kuchni do prasowania bluzek Kazi — byleby tylko ojciec jaknajprędzej wrócił do domu i zechciał się wycofać z tych interesów. Byliśmy biedni i żyło się jakoś. Najwięcej odczuje to Kazia, bo ona przyzwyczaiła się już do zbytków i wygody, ale z czasem to i ona pogodzić się z losem musi. — —

Ostry krzyk, dochodzący z jadalnego pokoju przerwał rozmyślania Stasi.

— A tam co się dzieje — mruknęła kucharka krzątająca się po kuchni — Pewnie panna Kazia napadów swoich dostaje!

Stasia rzuciła wszystko i przelękniona wpadła do pokoju.

Na kanapie, z rozwichrzonymi włosami, leżała Kazia, blada, zmieniona. Z zaciśniętych jej ust wybiegały od czasu do czasu niezrozumiałe, zgłuszone słowa. —

— Ah! podły! nikczemny!... Tak sobie zadrwić ze mnie... Co za wstyd... Boże mój! Boże!

— Co się stało? zapytała niespokojnie Stasia — Co Kazi jest?

— Nie widzisz, że biedactwo zachorowało z rozpaczy! jęknęła Gawlikowa nacierając energicznie skronie Kazi wodą kolońską! Oh! losie mój! losie! Doczekać się takiej okropnej chwili — Oh! nędznik! oszust! Hrabia bez butów! Pieniędzy się mu naszych zachciało!..

— Ale cóż się stało? co — nalegała Stasia przestraszona wyglądem Kazi i matki.

— Przeczytaj to się dowiesz! mruknęła Gawlikowa wskazując ręką na leżący na podłodze list i kopertę.

Stasia podniosła zmięty, przedarty papier i czytała:

— „Wobec zaszłych wypadków w rodzinie pani, uzna pani sama, że małżeństwo nasze stało się niemożliwe". —

Poniżej następował podpis hrabiego Gucia.

— Więc to tak! szepnęła Stasia z oburzenia — coła się w takiej chwili. I tamten dzięki Bogu uczyni to samo.

Nie myliłam się więc w sądzie o tych panach —

Któż to przyniósł? zwróciła się do matki.

— A posłaniec — któżby? wyrzekła Gawlikowa ze złością. — Nikczemnik! podlec! Unieszczęśliwiać tak moje dziecko! Boże! mój Boże! Jak się to rozniesie po mieście, to chyba nam z tego Krakowa uciekać przyjdzie na koniec świata! Biedna moja Kazia! Jak ona taki zawód przeżyje!

— Zdaje mi się, że Kazia nie bardzo była przywiązana do niego — odezwała się nieśmiało Stasia — Zawód więc ten nie powinien być dla niej taki bolesny.

— Głupia jesteś — syknęła Gawlikowa — Tobie tylko romans w głowie. —

— Mamo! zajęczała Kazia z kanapy — Nie mówić o tem nikomu — Przed wujem szczególnie — wydrwi tylko — Oh! ja nieszczęśliwa! wybuchnęła spazmatycznym płaczem, zakrywając twarz rękami.

W tej chwili dobiegł z kuchni ostry gwar podniesionych głosów;

— Kiedy mówię, że nie można — mówiła szorstko, poirytowanym tonem Katarzyna — Panie nikogo nie przyjmują. —

— Kto tam znowu? Idźno Stasiu zobacz! rozkazała Gawlikowa.

Ale zanim jeszcze Stasia wyjść zdołała, do pokoju wpadła zadyszana przebytą walką Olearczykowa.

— Ah! moja paniusiu złota! zawołała z progu z wielkiem oburzeniem. Widział to kto? Ta kuchta wpuścić mnie nie chciała. A ja aż drżę cała, żeby się z moją paniusią zobaczyć i użalić razem nad tą nieszczęsną dolą! Ah! Święci pańscy! — westchnęła ciężko rzucając się na szyję oszołomionej Gawlikowej — To ci dopiero historya! Biedny ten pan Gawlik! Taki porządny, uczciwy człowiek — — Wierzyć nie chciałam własnym uszom, kiedy mi na targu kumoszki mówiły. —

— Mamo! jęknęła Kazia — ja jestem chora!... ja nie mogę słuchać — — mnie to denerwuje okropnie. — —

— Co ty znowu wygadujesz Kazieczko — pospieszyła do niej Olearczykowa i rozsiadła się przy niej na kanapie. Toć wiadomo, że człowiekowi lżej na sercu, jak się użali i wygada przed starymi znajomymi. Trudno! Wola Boża! utyskiwała żałośnie wpatrując się świdrującemi oczami to w Gawlikową, to w Kazię, aby wybadać stopień ich przygnębienia. Najporządniejszego człowieka wypadek taki spotkać może. — No, ale jakże tam? Pan Gawlik prędko wróci do domu? zapytała z gorączkowem zaciekawieniem — wzracając się do Gawlikowej.

— Dziś albo jutro się go spodziewamy — — To było tylko małe nieporozumienie — próbowała ratować sytuacyę Gawlikowa. — Pani Olearczykowa wie jak to dzisiaj jest. — Czepiają się o byle co spokojnych ludzi — a drugim to na wszystko pozwalają. — Kupił tam trochę tego towaru, przecież każdemu handlować wolno — to zaraz z tego zrobili wielkie historye, że przechowuje, że ukrywa. — —

No i co? i co? zaiskrzyły się Olearczykowej oczy z ciekawości. —

— A coby? Zabrali. —

— Towary?

— A jakże. —

— A to ci dopiero paniuńciu moja — oburzyła się Olearczykowa — Nijako żyć biednym ludziom nie dają — a niechby tak przejść po tych panach rajcach magistrackich, toby pełno wszystkiego znalazł. — Im tam bieda nic nie zrobi. —

— Oh! tak! tak! — przytakiwała Gawlikowa — Święte słowa pani Olearczykowej.

— A paniuńcia moja niech się niepotrzebnie nie kłopocze. Da pan Bóg wróci pan Gawlik, to znowu wszystko w porządku będzie. Te trochę towaru, że zabrali to jeszcze nic. Kto ma taki majątek, to takiem głupstwem nie zuboży.

Gawlikowa spojrzała bystro na Olearczykową, chcąc wybadać, czy stara mówi szczerze.

— Nie wie pewnie żeśmy wszystko stracili — przemknęło jej przez głowę. Nie będę jej się zwierzać. — Na czas się dowiedzą jeszcze.

— No, tak, tak. — Gorsze nieszczęścia na ludzi spadają — wyrzekła zamyślona. Ale człowiekowi przykro jak go takie niesprawiedliwości spotykają. A zawsze to trafić musi na najniewinniejszego. Oh! Takich Szulców — dodała z nietajoną złością, to zło omija! Rozpanoszyli się już tak, że aż niemiło patrzeć.

— Co też paniuńcia mówi! zawołała Olearczykowa z ożywieniem. — To pannuńcia nie wie?

— O czem? zapytała ciekawie Gawlikowa nagle zelektryzowana niejasnem przeczuciem.

Kazia, która dotąd nie wtrącała się do rozmowy usłyszawszy wymówione nazwisko Szulców, uniosła teraz głowę z kanapy i z gorączkową ciekawością wpatrzyła się w starą handlarkę.

— Czy i u nich się co stało? — zapytała z drżeniem w głosie.

— Pewnie, że się stało i niemało jeszcze — odpowiedziała Olearczykowa z błyskiem radości w oczach, zadowolona, że to ona pierwsza zwiastować może tak ważną nowinę. —

— No co? co? nalegała Gawlikowa.

— Wikta już nie będzie nigdy panią baronową — oznajmiła tryumfująco Olearczykowa, spoglądając po wpatrzonych w nią uporczywie kobietach.

— Nie będzie baronową! krzyknęła Kazia zapominając o swojej chorobie. — Nie będzie baronową! Więc ją ten stary puścił...

O mało nie dodała „także", ale w sam czas się zreflektowała i potrząsając Olearczykową za rękę — wołała podniecona.

— Niechże pani Olearczykowa mówi, jak to było? Kiedy? Z jakiego powodu?

— Z jakiego powodu? powtórzyła zjadliwie stara handlarka — a no z tego, że już nie żyje, więc mu do grobu a nie do ślubu pójść wypadło. —

— Co też pani Olearczykowa mówi — wyrzekła trochę zdetonowana Kazia, której „puszczenie" Wikty przez barona byłoby więce osłodziło własną porażkę. —

— Przedwczoraj umarł a dziś pogrzeb — oznajmiła z całą stanowczością Olearczykowa — Byłam u nich i sama na własne oczy widziałam, jak Wikta darła sobie z głowy włosy i latała jak opętana po mieszkaniu. Przecież ten baron to schorowany był i stary jak to próchno. Nie chciały mnie słuchać, a mówiłam żeby ślub przyspieszać, bo z takim to niewiadomo nigdy co człowieka, to i doczekały się. — Wczoraj wróciły z Zakopanego na pogrzeb — kończyła Olearczykowa i odetchnęła głęboko jak po nużącej pracy. —

— No, chwała Bogu — wyrwało się złośliwie z ust Kazi. Czy z tego, czy z owego powodu, małżeństwo do skutku nie dojdzie. Lżej mi będzie teraz znosić własny zawód. —

— Własny zawód! — podchwyciła Olearczykowa. —

Ale właśnie weszła Stasia, z oznajmieniem, że Grodzicki przyszedł, więc Gawlikowa przeprosiła starą handlarkę i prędko ją wyprowadziła tylnemi schodami, tłómacząc się, że ma z kuzynem ważne sprawy do przeprowadzenia.

XIX.

Od tygodnia już Gawlikowie zamieszkiwali dwa nieduże pokoiki na ulicy Zwierzynieckiej.

Nie pomogły łzy i upór Kazi, broniącej do ostatka nienaruszalności dawnego mieszkania. Grodzicki przeprowadził to, co zamierzał i nazajutrz przy pomocy już uwolnionego Gawlika, wynajął i przeprowadził całą rodzinę na nowe miejsce.

Z całej dawnej fortuny Gawlików, po uregulowaniu wszystkich wierzycieli — pozostało zaledwie parę tysięcy na pierwsze potrzeby życia.

Stało się to wszystko tak nagle i niespodziewanie, że zanim się ludzie zoryentować zdołali, nazwisko Gawlików, które jak meteor zabłysło na horyzoncie krakowskiego bruku, wywołując zdziwienie i zawiść — zgasło również szybko, prawie bez komentarzy. —

W kawiarniach tylko, do których uczęszczał Gawlik, w pierwszych dniach zauważono jego nieobecność, ale w tym wirze szalonych, ryzykownych interesów, w których każdy co dnia narażał swoje dobre imię i mienie — nie było czasu nad zastanowieniem się głębszem nad losami jednostki, pochłoniętej fatalnie przez gorączkę złota, która nurtuje bez wyjątku prawie wszystkie warstwy zdemoralizowanego społeczeństwa.

Gawlik, przez pierwsze kilka dni czuł się bardzo nieswój i wykolejony. Przywykł był już i on do wygodnego, bez pracy życia, brak mu było towarzyszów kawiarnianych, czołobitności kelnerów, uśmiechających się pogardliwie poza jego plecami i tego, pewnego znaczenia wśród ludzi, które sobie wyrobił tak prędko. Do tego wszystkiego, codzień był narażony na zgryźliwe uwagi żony, na jej narzekania i wymówki i łzy i wymowne milczenie Kazi, nie mogącej zapomnieć, że krach majątkowy ojca był jedyną przyczyną zerwania wymarzonego małżeństwa.

Ale, że w gruncie rzeczy, nie przywiązywał osobiście wielkiej wagi do pieniędzy, które zdobywał jedynie ulegając terrorowi żony i że nie był nigdy zbyt wymagający w potrzebach osobistych — zaczął pomału oswajać się z nowem położeniem, tembardziej, że położenie to, Stasia starała mu się osładzać na każdym kroku.

— Trudno, tatusiu pocieszała go — ty nie byłeś stworzony do prowadzenia takich interesów. — Za dobry jesteś, za miękki, każdy cię mógł wykorzystać łatwo — i przyznaj się, że musiałeś się nieraz brzydzić sposobami jakimi zmuszony byłeś zdobywać pieniądze — prawda? Teraz znowu weźmiesz się do jakiej pracy i wszystko będzie dobrze.

— Ale matka i Kazia? — niespokojnie pytał Gawlik uznając w duchu słuszność uwag Stasi.

— Przeboleje — muszą przeboleć — Kazi się może trafi dobrze wyjść za mąż. —

— A ty do mnie żalu niemasz malutka — pytał Gawlik całując ją serdecznie. — Przecież twoje małżeństwo także zerwane?

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM I.

46

Noc zapadła, gwiazdy weszły, i sierp księżyca oświecał niebo powleczone lekkiemi obłokami. Gęsto rosnące palmy tworzyły jakby ścianę, z ogromnymi pióropuszami na szczycie. Pomiędzy nimi migotało światełko. Pochodziło ono ze stojącego opodal namiotu, zamieszkałego przez Niemkę w średnim wieku, podróżującą w towarzystwie pięknego młodego araba. Przejeżdżali właśnie drogą obok obozu, kiedy Arminowie siedzieli przy herbacie i Nigel zapytał się o nich Ibrahima. Mrs. Armine przypomniała sobie wyraz twarzy swego męża, kiedy, usłyszawszy ich historyę, rzekł do niej:

— Takie kobiety niszczą tutaj prestige europejczyków. — Odpowiedziała: — To jest rzecz, której nigdy nie zrozumiem — i zaczęła mówić o czem innem, lecz nie zapomniała jego wyrazu. Jeżeli — pewne rzeczy — Nigel mógł ją przerazić.

Psy szczekały w oddali. Usłyszała cichy szmer wody przed obozem. Na wąskiej drodze pomiędzy palmami, a polem, ukazało się dwóch ludzi prowadzących wielbłądy. W chwilę później odgłos chrapania przyłączył się do szczekania psów i szmeru wody. Wielbłądy zostały przywiązane na nocny spoczynek. Nie było właściwie zimno, lecz nie było też złotego ciepła w powietrzu i cudowną przeźroczystą suchość Egiptu, zastąpiła jakby wilgoć, teraz, kiedy słońce zaszło. Mglisty pierścień naokoło księżyca, zapach ziemi, dalekie szczekanie psów, bliski szmer wody, wrażenie mgły, która ją przenikała, światełko odległego namiotu pomiędzy palmami uczyniły na Mrs. Armine przygnębiające wrażenie. Całą duszą pragnęła być z powrotem w Luksorze. I zdawało się jej wprost nie do wiary, że ktoś mógł się czuć tutaj szczęśliwym. A jednak Nigel był szczęśliwym i każdy Egipcyanin tęsknił do Fayum.

Sam dźwięk tej nazwy wydawał się jej smutnym i ponurym.

Lecz Barondi coś zamierzał. Zobaczyła Hanzę, prostego jak czcina, wracającego drogą z miasta. Musi uczynić Nigla szczęśliwym i — czekać. Musi uczynić Nigla bardzo szczęśliwym, inaczej spadnie w opinii Barondi'ego i okaże się mniej mądrą, mniej subtelną, niż on był sam.

Hanza przeszedł mostek nad rzeką i zawrócił bez szelestu do obozu. Był boso. Podszedł do namiotu służby, przed którym rzędem leżały wielbłądy jedząc wysypany im jęczmień i stanął.

— Hanza! — zawołała na niego łagodnie Mrs. Armine — Hanza!

Szybko przebiegł przestrzeń, która ich dzieliła i stanął przy niej.

Jeszcze nigdy z Hanzą nie rozmawiała. Nigdy nie słyszała, żeby wymówił jaki wyraz angielski, z wyjątkiem *„yes"*. Lecz tego wieczoru radaby zawrzeć z nim bliższą znajomość, gdyż był wysłannikiem Barondi'ego w obozie w Fayum.

— Czyś zadowolony, że jesteś w mojej służbie Hanza? — rzekła — czy jesteś rad, że przybyłeś z nami do Fayum?

— Yes — rzekł.

Zawahała się; było coś w jego postaci, jego zachowaniu, co ją odpychało. Wreszcie się odezwała:

— Czy lubisz mnie, Hanza?

— Yes.

— Byłeś w Mekce, nieprawdaż z Mahmond Barondi'm?

— Yes — szepnął tym razem.

Ręce jego zwisały po obu stronach, zakryte szerokiemi rękawami, lecz teraz, poruszyły się, jedna z nich podniosła się do jego piersi i tak pozostała.

— Co czynisz — zapytała Mrs. Armine z nagłą szorskością i niewytłomaczonym dla niej impulsywnym ruchem oderwała tę rękę od piersi, zwracając ją ku sobie.

Przy świetle nowego księżyca, zobaczyła, że Hanza trzyma w ręku rodzaj woreczka z muszli, zawieszonego na sznurku i szyji. Zakrył muszlę palcami i ukazał rząd swych białych zębów. Puściła jego rękę.

— Co to? — zapytała.

— Yes — odpowiedział.

Odwróciła się i weszła do namiotu, a on znikł jak cień.

Kiedy Nigel powrócił z Sennoures zapyta go:

— Co znaczą te woreczki z muszli, które Egipcyanie czasem noszą na szyi?

— Oh! uważają to za talizman przeciw złym oczom i złym duchom. Gdzie to widziałaś?

— U jednego poganiacza osłów nad Nilem w Luksorze.

Zmienili rozmowę.

Podczas obiadu siedzieli po obu stronach rozkładającego się, na żelaznych nogach stołu. Pod nogami mieli gruby dywan ciemno-czerwony, w różno kolorowy deseń tak wielki, że zakrywał całą przestrzeń pomiędzy płóciennemi ścianami.

Namiot był oświetlony naftową lampą, dokoła której krążyły ćmy, uderzając nieraz o klosz. Drzwi były otwarte, i zaraz za niemi stał Ibrahim odrapowany szalem z powiewającemi frendzlami, uważając czy tubylcza służba dobrze spełnia swą powinność. Przez otwór w namiocie wciąż dochodziło szczekanie psów i szmer wody, woń bujnego i wilgotnego gruntu rozchodziła się w powietrzu łącząc się z wonią potraw.

Twarz Nigla promieniała. Opuścili nowożytną cywiwilizacyę dla natury i czuł się zupełnie szczęśliwym. Patrzał na Ruby, szukając w niej odbicia swej radości, lecz powstała w nim wątpliwość, gdyż zdawał sobie sprawę, że to co dla niego było znaną historyą, upiększoną obecnie miłością, stanowiło dla niej nową próbę.

Odpowiedziała mu spojrzeniem, które go uspokoiło, przenikneło ciepłem, lecz na które sam odpowiedział tylko prozaiczną uwagą:

— Kucharz nie jest tak złym, prawda Ruby?

— Doskonały — rzekła — nie pamiętam kiedy jadłam tak dobry obiad. Jak może to wszystko czynić w namiocie?

Odsunęła krzesło.

— Ten stół trochę niski — ciągnęła — lecz dlaczego jestem taką wysoką? w namiocie powinno się być średniego wzrostu.

— Czy ci było niewygodnie? — zawołał z niepokojem.

— Nie, nie bardzo. To nic nie znaczy.

— Jutro to zmienię, każę stół podwyższyć. Powinniśmy mieć wszystko jak się należy, ponieważ pozostaniemy dłuższy czas tutaj.

Powstał.

— Nie będę piła dzisiaj kawy — rzekła — to byłoby okropnie, źle spać w namiocie!

— Zobaczysz, będziesz tutaj doskonale spała. Wszyscy dobrze sypiają w obozie. Przebywając na świeżem powietrzu, jest się zmęczonym wieczorem.

— Tak, lecz ja nie będę tak ciężko pracowała jak ty.

Podeszła do drzwi.

— Jak długo pozostaniemy w Fayum? zapytała obojętnie. — Jak długo byłeś tutaj przeszłego roku?

— Mniej więcej sześć miesięcy.

Nic nie odpowiedziała. Potarł zapałkę i zapalił papierosa.

— Lecz teraz naturalnie to zupełnie co innego — rzekł. — Jeżeli zechcesz zostaniemy jeżeli nie, możemy zaraz powrócić do willi.

— A twoja praca?

— Powinienbym zostać tutaj, mam więc nadzieję, że polubisz tę miejscowość.

Zbliżył się do niej.

— Lecz tej zimy chcę żyć dla ciebie i starać się uczynić cię szczęśliwą. Zobaczymy jak się będziesz tutaj czuła. Czy myślisz, że będzie ci dobrze? Czy podzielasz moją radość z uczucia pełnej swobody?

Wziął ją pod rękę.

— To ogromna zmiana dla ciebie, lecz czy szczęśliwa zmiana? — zapytał.

— Cudownie tutaj — odparła — lecz tak dziwnie, że muszę się do tego przyzwyczaić.

Gdy to mówiła, dusza jej rwała się, żeby najpierwszym pociągiem powrócić do Kairu.

Przez tyle lat przyzwyczajona, że każdy jej kaprys był spełniony, każda zachcianka wykonaną przez uwielbiających ją mężczyzn, nie wiedziała jak zniesie obecne położenie, które tylko namiętna miłość mogła uczynić znośnem.

— Jest jedna rzecz, którą chciałabym uczynić, zanim opuścimy Egipt — rzekła zwolna.

— Co takiego?

— Chciałabym płynąć po Nilu w dahabijah.

— Życzenie twe zostanie spełnione. Jak wyjedziemy stąd, najmę w Kairze statek i odeszlę go do Lucom, dokąd się udamy koleją, a następnie popłyniemy do Assnau. Lecz nie myśl, żebyśmy mogli wziąść Lonlię.

Zaśmiał się.

— Milionerzy, jak Barondi nie wynajmują swych łodzi — dodał — a gdyby nawet wynajmowali nie byłbym w stanie zapłacić ich ceny.

Czoło jej się zmarszczyło. Nie znosiła, jeżeli mężczyzna który ją kochał wspominał o ubóstwie. Stało się jej przyzwyczajeniem myśleć, że żaden z nich nie miał prawa jej kochać, jeżeli nie mógł jej dać wszystkiego czego zapragnie.

— Czy wyjdziemy, Ruby.

— Dobrze.

Wyszli na otwartą przestrzeń. Trzymał ją wciąż pod rękę i zaprowadził w dół do strumienia. Księżyc na nowiu zachodził. Gwiaździste niebo, było gdzieniegdzie powleczone chmurkami. Gęsta mgła padała na żyzne pola oazy.

Nigel odetchnął głęboko i para wyszła z jego ust.

— Opuściliśmy suszę Górnego Egiptu — rzekł — tutejsza kraina urodzajna i bujna. Lecz zaczekaj chwilkę, przyniosę ci płaszcz. Nie zapominaj że jestem twą pokojową.

Przyniósł płaszcz i owinął ją w niego.

— Przypuszczam, że Lonlia znajduje się na rzece — ciągnął — może w Assnau. Ciekawym czy się jeszcze kiedy spotkamy z Barondi'm. Przypuszczam, że jest porządnym człowiekiem, lecz z tymi ludźmi Wschodu nigdy nie wiadomo. Myślałem, że można ich wyrozumieć, byłem tego pewny, lecz...

Wstrząsnął głową i pociągnął cygaro. Zupełnie bezwiednie przybrał ton małżonka. Było coś w samym dźwięku jego głosu, co ją dotknęło. Zapragnęła go zadziwić, wyprowadzić z równowagi, powiedzieć, że rozumiała się lepiej z jednym wschodnim człowiekiem, niż mogłaby kiedykolwiek zrozumieć się z nim, lecz pomyślała o dahabijah, o Nilu, o wyjeździe stąd.

— Co prawda — rzekła — zawsze to znajdowałam. Jest jakaś przepaść nie do przebycia między Wschodem a Zachodem.

Spojrzała na dalekie światełka pomiędzy palmami i dodała z pogardą.

— Ci, którzy ją przeskakują muszą być szalonymi, lub jeszcze gorzej.

Twarz Nigla spoważniała.

— Tak — rzekł — niecierpię potępiania, lecz są pewne rzeczy, prawdziwie nie do darowania.

Wyciągnął rękę w stronę światełka.

— A ta jest jedną z nich. Przykro mi, że się znajduje tak blisko nas. To jedyna plama na naszem tutejszem życiu.

— Nie patrz na nie — szepnęła.

Jego niezwykły wyraz silnego, zdrowego wstrętu i oburzeni, po części ją zachwycił, a po części przeraził.

— Nie myśl o tem. To niema z nami nic wspólnego. Słuchaj! co to jest?

Czysta nuta, jakby nuta fletu odezwała się z przeciwnego brzegu strumienia i powtórzyła się kilka razy.

Twarz Nigla się wypogodziła.

— To — to egipski Pan nad wodą — podejdźmy trochę bliżej — teraz, słuchaj!

Czysty nikły dźwięk powtórzył się znowu i znowu.

Księżyc zaszedł za drzewa palmowe. Z jego zniknięciem noc stała się ciemniejszą i światełko błyszczało tem wyraźniej.

Pociągało i zatrzymywało oczy Bella Donny, podczas gdy egipski Pan, grał na swym flecie.

KONIEC I TOMU.



Kronika tygodniowa

Dzień, w którym szósta, zatem i ostatnia kronika wielkopostna miała być przelaną z kałamarza na papier, zaczął się stanowczo pod bardzo nieszczęśliwą gwiazdą.

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy kronikarza obudził głos Weroniki:

— Czy słyszysz?...

Ziewając, przetarł oczy jak gdyby one były do słyszenia potrzebne i zapytał:

— A co?.. Czy może bolszewicy lub bisurmani napadli na Kraków?...

Pytanie to nasuwało się samo na usta, przed chwilą śniło mu się bowiem, że sam Trocki, w swej własnej osobie, skierował weń lufę karabinu maszynowego i wołał dzikim głosem: „Ręce do góry!... Życie albo sto marek na plebiscyt!", z drugiej zaś strony zmierzał ku niemu Achmed bej z zupełnie podobnem wezwaniem.

— Ależ nie!... — odpowiedziała — kogut pieje!...

— Od tego jest kogutem aby piał... Daleko dziwniejszem byłoby, gdyby szczekał.

W tej chwili, jak gdyby na zawołanie odezwało się za ścianą ujadanie psa, który, widocznie także głosem koguta obudzony, dawał w ten sposób wyraz swojemu niezadowoleniu.

— Żarty ci w głowie a ja mówię seryo!...

— I ja także!... Kogut jest od tego aby piał...

— Tak!... Ale to jego pianie przypomina, że nie byłoby od rzeczy postarać się na święta o coś podobnego...

— A czy wiesz, ile dziś taki kogut kosztuje?... Co najmniej z tysiąc marek!...

— Co to dziś tysiąc marek!... Ale miałbyś za to w pierwszy dzień świąt smaczne jedzenie, a ja ubrałabym sobie kapelusz jego piórami... Pomyśl tylko, jaka oszczędność...

— Tak!... A ty nie zapominaj, że to już druga połowa miesiąca... Zresztą podobny wydatek to nie na dziennikarską dziurawą kieszeń!...

A kogut tymczasem, jak gdyby nie miał nic lepszego do roboty, piał dalej, i to bardzo ochrypłym głosem. Nie zdawał sobie widocznie z tego sprawy, że nie jest już na wsi, gdzie było jego obowiązkiem budzić gospodarza, lecz w mieście, gdzie zupełnie niepożądanem jest podobne zakłócenie nocnego spokoju. Musiało go dziwić, że nikt mu nie odpowiada, choć jeszcze wczoraj na jego pianie odezwały się koguty w całej wsi. Nawet pies, który początkowo szczekał, umilkł. O tyle był szczęśliwszym od kronikarza, że dobroczynny sen skleił mu napowrót powieki, gdy natomiast on, wybiwszy się raz ze snu, przewracał się tylko z boku na bok, rozmyślając o znikomościach tego świata i o zbliżających się świętach.

Ale ten kogut chodził mu nie na żarty po głowie. Zazdrościł w duchu sąsiadowi, który mógł sobie pozwolić na podobny wydatek, ale zazdrościł też i kogutowi, który przez te kilka dni, dzielących go od egzekucyi, nie będzie miał chyba powodów do narzekania na złą aprowizacyę. Dziś mu z pewnością ani się śni o tem, że ci właśnie, którzy tak dbają o to, aby mu nie brakowało niczego, zaprzysięgli mu niechybną zgubę... Pani domu, zamiast zapytać się, czy kawa dla małżonka już gotowa, otwarłszy oczy, interpeluje przedewszystkiem służącą:

— Kasiu!... A czy dałaś już jeść kogutowi?...

Czeka go, co prawda, smutny koniec, ale bodaj na ostatnie dni swego żywota nie potrzebuje narzekać.

Około ósmej wstał kronikarz, dzięki kogutowi i Weronice niewyspany i to do tego „lewą nogą", co się zresztą codziennie powtarza, gdyż tak łóżko jest ustawione. Tem się też tłómaczy pech, jaki go stale prześladuje i kilkakrotnie spowodował już do postawienia na radzie familijnej wniosku o „przegrupowanie" umeblowania pokoju sypialnego, co jednak dotąd nie zostało uwzględnione.

Nastąpiła potam mała wojna domowa o świeżą chustkę do nosa. Przeciw wydaniu jej zaoponowała stanowczo Weronika, twierdząc, że to zbytek, na który nie można sobie pozwalać, zwłaszcza wobec nowej podwyżki cen mydła.

To zajście dało kronikarzowi powód do refleksyi na temat chustek. Doszedł do przekonania, że wobec tego nie powinny się one używać „do nosa", lecz „od nosa", trzeba je bowiem chronić od zbyt częstego spotykania się z nim, aby jak najdłużej mogły zachować swą świeżość, gdy mydło takie drogie.

Po herbatce z sacharyną i kromeczką chleba opuścił kronikarz domowe progi. W sieni przeszła mu drogę stróżka z próżną konewką, co kazało się spodziewać, że dzień ten będzie krytycznym i to pierwszego rzędu.

I w samej rzeczy, zaledwie wszedłszy na Rynek, natknął się na znanego pana Hirschsprunga, z którym pozostaje w nieuregulowanych dotąd stosunkach finansowych a ten powitał go melodyjnem:

— Co bedzi?

— A cóż ma być? — odpowiedział — Chyba pan wie, że już druga połowa miesiąca, a do tego nadchodzą święta...

— Na!... I u nas także idzie pejsech, a ja potrzebuję pieniędzy na macę...

Z tej opresyi bisurmańskiej wyratował jednak kronikarza szczęśliwie jeden ze znajomych, z którym podszedł pod Sukiennice. Ten się chciał zaopatrzyć w zapałki, gdy się jednak od chłopca dowiedział, że i one podskoczyły już na pięć marek, zrezygnował z zamiaru postanawiając... pożyczać ognia od przechodniów, o ile go kto naturalnie poczęstuje papierosem lub cygarem.

Bez ołówka natomiast dziennikarzowi obejść się trudno. Z tego powodu odwiedził też jeden ze sklepów z przyborami piśmiennymi w Rynku, któż jednak opisze jego zdziwienie, gdy usłyszał, że ołówek, za który przed miesiącem płacił pięć marek (dawniej trzy centy...), kosztuje dziś już.. dwadzieścia pięć marek. Zabolało go serce, ale trudno, trzeba było zapłacić..

— A czy atrament także podrożał?... — zapytał.

— Tak jest!... Mamy tylko jeden gatunek i to z tej samej sorty, której użyto do podpisania traktatu wersalskiego, a teraz do zredagowania niemieckich kontrpropozycyi na londyńską konferencyę...

— A jakiż powód tak gwałtownego podrożenia ołówków?

— Rewolucya anti-bolszewicka w Rosyi. To utrudnia dowóz grafitu z Uralu...

— Lecz dopiero w przyszłości...

— Tak!... Ale chcemy przygotować naszą klientelę już wcześniej do tej podwyżki...

Załatwiwszy jeszcze kilka drobnych interesów i po półgodzinnem czekaniu na tramwaj, który na „dwójce" spóźnia się stale z regularną ścisłością, znalazł się kronikarz, już bez żadnego wypadku, w lokalu redakcyjnym.

Na wstępie powitał go, słodszy niż krystaliczna sacharyna, głosik jednej z panienek, pracujących w administracyi:

— Panie redaktorze! Jakiś pan chce się z panem widzieć. Czeka już przeszło godzinę...

W tonie często było pewien rodzaj wyrzutu, że się kronikarz spóźnił, co przecież nie wytrąciło go ze zwykłego spokoju.

— Widocznie ma interes — odpowiedział — A, kto ma interes jaki, musi być przygotowany na czekanie... Ot... I ja w kilku miejscach musiałem czekać, a nawet dwa razy „stawać do ogonka"...

W pokoju redakcyjnym zastał kronikarz nieznanego sobie pana w średnim wieku.

— Gawlik!... — przedstawił się obcy.

— Bardzo mi miło. A czy to może pan Gawlik z „Gorączki złota", czy też jego krewniak?...

— Nie, panie!... Ja jestem Gawlik z... — i tu wymienił miejscowość, której jednak nazwiska nie powtarzamy, aby nie zdradzić przybysza, który o to prosił, bojąc się, aby się jego „stara" nie dowiedziała, iż się znalazł aż w Krakowie.

— Ja do pana dobrodzieja z prośbą — mówił — aby pan zbabrał porządnie hotelarzy. Obszedłem ośm hoteli i nigdzie nie mogę dostać pokoju... A przyjechałem tylko po to, aby się zabawić w Krakowie i zostawić tu trochę pieniędzy... Interesy idą, Bogu dzięki, nie najgorzej, a na prowincyi niema gdzie szukać rozrywki... Pomyśl pan, ile na tem Kraków straci, jeżeli ja będę zmuszony jeszcze dziś wracać do domu...

— Pociesz się pan — kronikarz mu na to — że takich, jak pan, jest więcej. Nawet ci, którzy nie na zabawę, ale za interesami przyjechali, nie mogą znaleźć pomieszczenia. Temu jednak hotelarze nie winni...

— Tylko kto?...

— Mała liczba hoteli, magistrat, a wreszcie i sama publiczność podróżująca...

— Pierwszy punkt rozumiem, ale drugi, a tembardziej trzeci jest dla mnie zupełnie niejasny...

— Zaraz to kochanemu panu wytłómaczę...

I zaczął kronikarz opowiadać gościowi, jakich to używa metod miejski Urząd kwaterunkowy, aby sobie ułatwić zadanie. Otóż, w razie potrzeby, rekwiruje poprostu całe hotele, nic sobie z tego nie robiąc, co też poczną ci, którzy przybyli do Krakowa za interesami, radzi byliby znaleźć kawałek bodaj dziurawego dachu nad głową, a nie noszą na sobie munduru wojskowego. Obszedłszy wszystkie hotele i dowiedziawszy się, że nie znajdą nigdzie pomieszczenia, skazani są na przespanie się na ławce plantacyjnej, za co, na razie przynajmniej, nic się jeszcze nie płaci, ale gdzie się można pożegnać z zegarkiem, pugilaresem, oraz częściami garderoby.

Mieszkań prywatnych, które nadawałyby się zupełnie do celów kwaterunkowych, jest dość, ale odnośna władza jakoś ich znaleźć nie umie, albo nie chce. Czy n. p. nie powinny być na ten cel użyte pokoje u tych „litościwych serc", które odnajmują u siebie przyjezdnym łóżka po dwieście marek za noc, a podatku od płynących z tego źródła dochodów, bynajmniej nie płacą?... Nie brak także mieszkań, składających się z czterech, pięciu i więcej pokoi, zajmowanych przez dwie tylko osoby.

I z tego to powodu, że w hotelach kwaterują wojskowi, bułgarski prezydent ministrów Stambulijski, bawiąc niedawno w Krakowie, otrzymał i to z trudem pomieszczenie na czwartem piętrze, gdy się zaś dziwił, że tak wysoko, powiedziano mu, że to krakowski zwyczaj. Im kto wyższe zajmuje stanowisko, tem wyżej się go lokuje. Gdyby do Krakowa przybył kiedy Ojciec św., niewątpliwie pomieszczonoby go... na wieży Maryackiej, jako jedynej, najwyżej w mieście położonej ubikacyi, nadającej się do zamieszkania.

— A jakąż winę ponosi publiczność? — badał dalej gość.

Na to odpowiedział mu kronikarz, że sami przyjezdni psują służbę hotelową, starając się o jej względy przy otrzymaniu mieszkania, za pomocą niemych, ale bardzo wymownych argumentów... w gotówce. A taki portyer jest przecież tylko człowiekiem, ludzką zaś rzeczą jest brać, gdy dają, z pomiędzy dających wyróżni zaś tego, który daje najwięcej. Są to ludzie obarczeni rodziną, potrzebujący po kilkaset marek dziennie na opędzenie domowych potrzeb, przytem zmuszeni do pamiętania i o swej starości, gdyż na żadną emeryturę liczyć nie mogą. Podobnie, jak przy zakupnie niezbędnych artykułów, publiczność stara się wzajemnie przelicytować i sama sobie najbardziej tem szkodzi.

— Gdyby pokój otrzymał ten, kto ofiarował sto marek, a nie trzysta, powiedziałby, że ten portyer to głupiec, nie rozumiejący interesu!... — dokończył kronikarz.

— Jak Boga kocham, i ja powiedziałbym słowo w słowo to samo!... — rzekł pan Gawlik — No!... Wobec tego nie gniewam się już na hotelarzy, lecz na Kraków, iż ma mało hoteli i na magistrat, który rekwiruje pokoje w hotelach. Dziś wracam do domu. A może mnie kochany pan odwiedzi?... Zabawimy się, wprawdzie nie tak, jak to można w Krakowie, w każdym razie nie najgorzej. Nie braknie przynajmniej mieszkania i jedzenia, a moja stara bardzo się tem ucieszy, gdyż już dawno pragnie pana poznać...

Poszedł nudziarz, kronikarz chciał się zabrać do pracy, ale widocznie inaczej postanowiło Przeznaczenie. Siedmnaście razy wołano go do telefonu, a każdy z interesantów nie miał właściwie żadnego interesu, nie wiedział jedynie, co zrobić z czasem, podobnie jak paskarz z pieniądzmi.

Nadeszło południe i powrót ku domowemu ognisku. Pech towarzyszył i tu jeszcze kronikarzowi. Pokazało się, że wóz tramwajowy się zepsuł i „zjechał do remizy", na następny zaś trzeba będzie czekać co najmniej pół godziny. Wobec tego poszedł kronikarz piechotą, co nie było wskazanem ze względu na błoto i... fatuły w podeszwach.

W domu dalszy ciąg utrapień. Na obiad zupka, jakaś nieokreślonego a bardzo podejrzanego wyglądu, przypominająca smakiem rozgotowany kalosz oraz fasola. Po spożyciu darów Bożych dowiedział się, że ma pójść na spacer, gdyż na popołudnie zamówiona jest stróżka celem rozpoczęcia porządków świątecznych.

— A cóż z moją drzemką poobiednią? — zapytał żałośnie, co jednak Weroniki nie wzruszyło.

— Będziesz tem lepiej spać w nocy — mówiła.

— A ten kogut?...

— O koguta się nie obawiaj... Lokatorzy narzekali, że im spać nie daje, wobec czego kazał go gospodarz wynieść do piwnicy...

Kronikarzowi, który ma czułe serce, żal się zrobiło, naturalnie koguta, nie gospodarza, wiedział przecież, że mu nic pomódz nie może. Zostawił go zatem jego losowi, a sam, posłuszny rozkazowi władzy domowej, poszedł na przymusowy spacer, rozmyślając po drodze, że, jak na jeden dzień, kłopotów dość, i ciesząc się zarazem, że to piątek, nie poniedziałek, gdyż byłaby zła wróżba na cały tydzień.

I tak, ani się oglądnąwszy, skończyliśmy szóste wielkopostne rozmyślanie. Nadchodzi ostatni tydzień przedświąteczny, kto zatem chce godnie przepędzić Święta, niech korzysta ze sposobności i przygotowuje się, póki czas. A kto chce, aby i kronikarz także uczciwie je spędził, niech o nim nie zapomina. Przyjmuje prezenty w stanie stałym i płynnym, nie wykluczając kogutów, choćby go nawet miały budzić ze snu.

Echa konferencyi londyńskiej.

Rada Najwyższa ukończyła już swe debaty londyńskie, które dzięki prawdziwie chorobliwemu oporowi Niemców, nie doprowadziły do żadnego rezultatu, mogącego sądzić o rychłym powrocie stosunków na normalne tory.

Członkowie konferencyi rozjechali się już w różne strony. W dwie, zupełnie przeciwne, udali się Briand i Dr. Simons, ale też obaj w zupełnie odmiennym nastroju. Premier francuski wrócił do Paryża jako zwycięzca, który przeprowadzi swój program, Dr. Simons jako pokonany i dlatego właśnie jęczący głośno, że Niemcom dzieje się krzywda ze strony Koalicyi. Odjechał także i marszałek Foch, aby pokierować obsadzeniem przez wojska aliancke niemieckich terenów, co może przyprowadzi butnych Krzyżaków do upamiętania, że to rzecz traktowana seryo, a nie żarty.

Inaczej też przyjmowano Brianda w Paryżu, gdzie stał on się przedmiotem serdecznych owacyi ze strony ludności, zupełnie zaś inaczej Dra Simonsa w Berlinie. Rząd niemiecki, w myśl wskazówek którego oparł się Dr Simons żądaniom sprzymierzonych w kwestyi wypełnienia zobowiązań traktatowych, chcąc widzi swą zupełną porażkę, stroi miny, pozując na nieszczęśliwą ofiarę losu, pozornie udaje nieugiętość, ale w duchu przyznaje, że przegrał i że trzeba będzie co rychlej „iść do Canossy", gdyż Koalicya, w razie dalszego oporu zapowiada nowe represye, między innemi obsadzenie Berlina, jeśli Niemcy do 20 marca nie zdecydują się na stanowczą zgodę i to na to tylko, na co się już teraz zgodziły, podpisując traktat pokojowy wersalski. Podpisano go wówczas, ale w tej myśli, że między podpisaniem a wykonaniem, wiele się jeszcze może zmienić na ich korzyść.

Opinia publiczna jest natomiast różnych zdań. Wszechniemcy są przekonani, że stała się im krzywda, która musi być rychło naprawiona, jeżeli z tego powodu nie ma ponieść szkody cała Europa. Z tego powodu wyciągają od czasu do czasu bolszewickiego straszaka, wychodowanego za niemieckim piecem. Ich zdaniem Koalicya musi ustąpić. Druga część nieco trzeźwiej zapatrująca się na sytuacye, wzywa rząd do zmiany dotychczasowego kierunku polityki zagranicznej i osób nią się zajmujących, aby ojczyzny nie narażać na straty, które powetować będzie trudno.

Za tym drugim kierunkiem, jako rozumniejszym, pójdzie ostatecznie niezawodnie i rząd niemiecki, chcąc nawet wbrew Wszechniemcom. Jednolity front, którym się Niemcy tak chełpią, jest zatem tylko fikcyą. Widzimy to z głosów prasy, z przebiegu posiedzeń Sejmu Rzeszy, utarczki słownej między Drem Simonsem a „królem węglowym" Stinnesem w Komisyi spraw zagranicznych, głównie zaś z oświadczenia Bawarczyków, którzy w razie przeprowadzenia zapowiedzianego przez rząd rozbrojenia organizacyi samoobrony, obiecują przejść do otwartej opozycyi.

Jak się ostatecznie ułożą stosunki, to pokaże dzień 20 marca i następne, należy się jeszcze spodziewać, że u praktycznych Niemców rozsądek weźmie górę nad chorobliwym uporem i żądania Koalicyi zostaną przyjęte.

Jeśli to się nie stanie, gotów Berlin gościć w swych murach Francuzów, rewizytujących Niemców po ich odwiedzinach w Paryżu w roku 1871. A właśnie upłynęło od tej chwili okrągłe lat pięćdziesiąt, zatem czas chyba najwyższy aby Francuzi wypełnili raz wreszcie ten „dług wdzięczności".

W kwestyi wypełnienia przez Niemcy zobowiązań traktatowych, zwyciężyła stanowczo polityka Francuzów, a ci nie przepuszczą z pewnością swym wrogom i nie zgodzą się na dalsze zwlekanie lub zbyt daleko idące ustępstwa, które mogłyby łatwo zrobić z traktatu wersalskiego „zwykły tylko świstek papieru"..., z którym się nikt nie liczy, bo nie respektują go nawet jego ...autorowie!...



Echa konferencyi londyńskiej Loyd George, Briand i marszałek Foch po posiedzeniu Rady Najwyższej.



Echa konferencyi londyńskiej Przedstawiciel Niemiec dr Simons opuszcza Londyn po swym nieudałym występie.

I Niemcom otwierają się oczy..

Moltke i Bismark, to właściwi twórcy cesarstwa niemieckiego, ogłoszonego w r. 1871 w Wersalu. Geniusz strategiczny pierwszego, a zdolności polityczne i dyplomatyczne drugiego, zimnego, konsekwentnego, nie znającego przeszkód i trudności, kierującego się najdalej posuniętą bezwzględnością o ile rozchodziło się o osiągnięcie zamierzonego celu, męża stanu, były tymi czynnikami, którym współczesne Niemcy zawdzięczają swój rozkwit i potęgę, ale też i zgubę. Dopóki one szły w parze, Niemcom wiodło się dobrze, zapragnęły też panowania nad całym światem, a ta zachłanność przywiodła je nad brzeg przepaści. Wyrok na nie, dziwnym zbiegiem okoliczności podpisano w tymże samym Wersalu, gdzie lat temu zaledwie pięćdziesiąt, proklamowano narodziny cesarstwa niemieckiego.

Miejsce Moltkego zajął wprawdzie Hindenburg, bożyszcze wojujących Germanii, przerastający o wiele sławą i wziętością u swego narodu pogromcę Francyi z lat siedemdziesiątych, brakło przecież Niemcom męża stanu, który umiałby przewidzieć, że musi wreszcie pęknąć struna zbytnio przeciągnięta.

Militaryzm pruski poniósł w wojnie światowej dotkliwą porażkę, przedstawiciela jego, Hindenburga, otacza ciągle aureola wielkości, której pilnie strzeże, znaczenia swego nie nadużywając. Od czasu do czasu



Inauguracya sezonu piłki nożnej w Krakowie: Drużyna „Cracovii". Od lewej ku prawej stoją: Cikowski Kajzer, Sydowiec, Kotapka, Kałuża, Sperling Kubiński, Kogut, Poszonyi i (trainer) Gintel, Wiśniowski i Fris.

rzuci jakieś słówko, które można sobie dowolnie tłómaczyć, co bynajmniej nie przeszkadza, że w oczach Niemca jest on wcieleniem niemieckiej potęgi i nadziei odwetu.

Czy ten Hindenburg jest naprawdę takim geniuszem militarnym, za jakiego go Niemcy uważają, o tem różnie mówią, a nie brak i takich, nawet w niemieckiem społeczeństwie, którzy są zdania, że jest i był on jedynie widomą głową niemieckiej partyi wojennej, która i dziś jeszcze nie wyrzekła



I Niemcom otwierają się oczy...: Powitanie marszałka Hindenburga w Bremie.

się nadziei zapanowania nad całym światem, gdy natomiast szyją, która tą głową dowolnie kręci, jest jenerał Ludendorf, zły duch współczesnych Niemiec.

Sukcesów, jakie Hindenburg odniósł nad jeziorami Mazurskiemi nikt nie zaprzeczy, równie jednak dobrze można tu brać w rachubę szczęście, jak zdolności strategiczne wodza, o którym opowiadano w swoim czasie prawdziwe legendy. Faktem jest przecież, że przewidział on, iż na tym terenie musi przyjść do decydującego spotkania, że się potrafił oprzeć nawet rosyjskiej, której ani wtedy, ani później nie udało się sforsować tej drogi wgłąb Niemiec.

Jeziora Mazurskie, to podstawa sławy Hindenburga, której nie zdołały zaćmić późniejsze niepowodzenia niemieckiego oręża.

Po upadku cesarstwa nie angażuje się zbyt otwarcie, stanowiąc przecież, jak się wyżej rzekło, widomą głowę wojującej Germanii, nie zrzekającej się nadziei zmartwychwstania znaczenia pruskiego militaryzmu, a z niem i potęgi Niemiec.

I z tego właśnie powodu ma on nawet i wśród Niemców wrogów i niechętnych. Są nimi ci, którzy najbardziej odczuli następstwa wojny i powrotu dawnych stosunków bynajmniej nie pragną.

Dali oni temu wyraz podczas spuszczenia na morze nowego parowca niemieckiego. Na uroczystość tę przybył także i marszałek Hindenburg, lecz nie musiał być nią zbyt zbudowany, gdy z ust jednego z przedstawicieli sfer robotniczych padły bardzo ostre słowa pod adresem niemieckiej partyi wojennej.



IV. Wystawa formistów: F. Winklera „Portret".



IV. Wystawa formistów: J. Hrynkowskiego „Projekt witrażu".

IV. Wystawa formistów.

Historya naszej kultury estetycznej z lat ostatnich, nie pamięta takiego pomieszania pojęć, takiej gmatwaniny nazw różnych kierunków w sztuce, jak to ma miejsce w obecnej dobie. Ekspresyonizm, kubizm, futuryzm, formizm, dadaizm i t. d. słyszy się zewsząd, a przeciętny widz i czytelnik tracąc zupełnie oryentacyę, nie jest w stanie pojąć czego chcą właściwie te nowe kierunki i jaki cel przed sobą wytknęły. Dlatego też dobrze zrobili tym razem nasi formiści, urządzając podczas bieżącej wystawy odczyty i wydając publikacye. Z nich się dowie czytelnik zajmujący się nową sztuką, że najnowszy kierunek polskiej sztuki, formizm, przeciwstawiając się przeżywającemu się obecnie naturalizmowi pragnie przedewszystkiem stworzyć własny, rodzimy styl, na tle założeń współczesnej sztuki, która ogólnie biorąc nie polega na naśladowaniu natury, lecz głównie na duchowej emanacyi artysty. Pomijając włoski futuryzm zrywający stanowczo z tradycyą, wszystkie inne współczesne kierunki, począwszy od francuskiego kubizmu a skończywszy na formiźmie, są tylko dalszym ciągiem tego procesu, który rozpoczął się w twórczości francuskiego artysty, genialnego Cezanne'a, a który dzisiaj dochodzi do swej ostatniej chociaż w niektórych wypadkach zbyt może rady kalnie pojętej konsekwencyi.

To ostatnie wrażenie odnosi zapewne widz na bieżącej wystawie nieprzyzwyczajony jeszcze do niespodzianek, jakie w sobie kryje sztuka formistów. Bo też domaga się ona niebyłej jakiej współpracy widza, a każde z dzieł wystawionych, apeluje do niego w sposób odmienny, każde z nich musi być



IV. Wystawa formistów: Tytusa Czyżewskiego „Obraz wielopłaszczyznowy".

niejako ponownie odtworzone. Mimo tego widać już w tych wysiłkach zarysy wspólnego stylu, jakkolwiek do celu tego każdy z artystów odmienną sobie obrał drogę.

Wystawa zajęła dużą salę i „świetlicę". Zaraz na wstępie uderzają widza dużych rozmiarów dzieła Zbigniewa Pronaszki, z któremi, mimo nieco kubistycznie stylowanych kształtów, może się dosyć łatwo pogodzić zwolennik dawniejszej sztuki. O wiele silniej działają na widza jednak rzeźby tego artysty, które mogłyby doskonale wejść w skład dekoracyjny jakiejś monumentalnej budowli.

Po przeciwnej stronie Pronaszki, rozwiesił swoje obrazy, jedne nad drugiemi, znakomity kolorysta Ign. Stan. Witkiewicz, artysta bardzo oryginalny, którego ekstenzywny koloryt i ekscentryczność formy, wyodrębnia z pośród całej grupy formistów a z którym sztuką twórczość jego ma zaledwie luźny związek.

Leon Chwistek, działa więcej linią i stylowem rozmieszczeniem poszczególnych płaszczyzn na obrazie, niż kolorem, a w ogólności nie zdradza nazbyt rewolucyjnego usposobienia, czego nie można powiedzieć o Tytusie Czyżewskim, niezmordowanym poszukiwaczu nowych dróg i możliwości, jakie kryje w sobie sztuka formistów. Obrazy tego znakomitego artysty, tak ustawicznie niedocenianego przez krytykę i publiczność, nie wabią oka widza łatwemi



IV. Wystawa formistów: Rzeźba Zbigniewa Pronaszki.

efekcikami i wirtuozostwem, lecz zmuszają go do poważnego zastanowienia się nad zagadnieniami, które twórczość tego artysty rozwiązać usiłuje. Jego „Madonna" i portret artystki dr. m. p. Ordyńskiej, świadczy o dążeniu do stylowego ujęcia formy, głównie na tle prymitywnej sztuki ludowej.

Wybitnym lirykiem w pejzażu jest Jan Hryńkowski. Krzyżują się w jego twórczości wpływy dawnej sztuki z elementami nowych kierunków, w które potrafi artysta wniknąć głęboko. Jego „Tancerka" i „Salome", posiadają już własną swą nutę, własny wyraz, odczuty szczerze i oryginalnie.

Portret własny Henryka Gotlieba, jest ryzykownym a jednak udatnym eksperymentem na tle założeń dawnej i nowej sztuki, u której w tym dziele szczęśliwe połączenie koloru z formą, co również da się powiedzieć o „Chrystusie na Górze Oliwnej" Andrzeja Pronaszki, gdzie artysta rozwiązuje konsekwentnie całość kompozycyjną dzieła.

Konrad Winkler usiłuje dać syntezę formy i barwy, usiłowania te nie we wszystkich jednak obrazach są szczęśliwie rozwiązane. Najcharakterystyczniej i najindywidualniej sprecyzował swe wysiłki artysta w „św. Sebastyanie". Kolorystycznie silnym jest jego „Młyn".

Z gości warszawskich najciekawszy jest Wacław Wąsowicz, którego „kompozycye" świadczą o głębszem przemyśleniu problemów nowej sztuki, z lwowiaków zaś, Lille, pozostający pod silnym wpływem niemieckiej współczesnej sztuki. Publiczność zwiedzając tłumnie wystawę, zdradza znaczne zaintesowanie się młodą polską twórczością, głośno nieraz dyskutując i w przeróżny sposób komentując wystawione eksponaty, które stanowią już znaczny do robek artystyczny grupy formistów.

Z TEATRU.

Jubileusz „Poety przedmieść"

Po śmierci Anczyca, nieśmiertelnego twórcy śpiewnej sztuki i wodewilu polskiego—zdawało się, że i Muza ludowa odleciała na zawsze ze sceny polskiej.



Jubileusz „poety przedmieść": Konstanty Krumłowski, autor „Królowej przedmieścia".

Dopiero utwory sceniczne Krumłowskiego, niepospolitego znawcy sfer podmiejskich i ludowych, utwory jak „Królowa przedmieścia", „Śluby dębnickie. „Białe fartuszki", „Nocne ptaki" (Warszawa), „Przewodnik tatrzański" — przekonały, że wodewil się nie przeżył, że przeciwnie jest integralną, istotną częścią programu popularnych teatrów, że wodewil w odświeżonej formie i treści umie zająć i porwać tłumy. Teatr polski znalazł w Krumłowskim godnego następcę Anczyca.

To też słusznie należał się Krumłowskiemu ten akt uznania i podzięki, jakiego doczekał w jubileuszowym swym wieczorze, po 25 latach owocnej swej pracy dla sceny.

W Teatrze powszechnym odbyła się dnia 12 marca b. r. ta piękna uroczystość, a danem było jedno z najlepszych dzieł „Królowa przedmieścia". Publiczność przepełniająca widownię przyjęła po drugim akcie niemilknącymi, huraganowymi oklaskami jubilata wprowadzonego na scenę przez dyrektora teatru p. Wiśniewskiego, który w serdecznych słowach podniósł zasługi jego dla sceny polskiej, a potem w otoczeniu całego zespołu artystów odbierał Krumłowski gratulacye od artystów tej sceny, oraz delegatów innych teatrów krakowskich. Poczem wręczono mu cenne upominki, kwiaty i wieńce.

Publiczność żywiołowymi oklaskami i okrzykami na cześć Jubilata dawała wyraz swej sympatyi i serdecznej łączności z „poetą przedmieść krakowskich".

Po przedstawieniu zgotowały rozentuzyazmowane tłumy jeszcze raz na ulicy burzliwą owacyę swemu ulubieńcowi.

Jadwiga Magowa





Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożyła Marya M., Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego poety:

— swa
— pis
— oga
— ora
— pal
— vna
— ora
— gat
— zue
— gar
— eda
— oła
— nla
— gor

Grzebieniówka.

Ułożył A. A., Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy imię i nazwisko bardzo dziś popularnego Amerykanina:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —

Znaczenie wyrazów: 1. Rumuński taniec, 2. Oddział wojska, 3. Egzotyczny władca, 4. Strój rzymski, 5. Drogi kamień, 6. Słowo obce, wyrażające zakaz, 7. Jeden z produktów ziemnych.

Zagadka literacka.

Ułożył S. Bukowski, Tarnów.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą nazwę pewnej części roku:

Brodziński ?
Krasiński ?
Kraszewski ?
Korzeniowski ?
Żuławski ?
Słowacki ?

REBUS.



Trójkąt magiczny.

Ułożył J. O., Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko niemieckiego polityka:

■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Kraj w Azyi, 3. Miara odległości, 4. Dawny pieniądz, 5. Litera grecka, 6. Spółgłoska.

Kryształówka.

Ułożył L. George, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwę jednej ze stolic Europy:

■ — — — — —
— ■ — — — —
— — ■ — — —
— — — ■ — —
— — — — ■ —
— — — — — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Wyspa na morzu Egejskiem, 2. Bohater jednego z utworów Mickiewicza, 3. Maryski „Sinobrody", 4. Malarz polski, 5. Kraj w Europie, 6. Miasto w Chinach.

Przysłowiówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć zdanie z Pisma św. do którego się dziś, z powodu braków aprowizacyjnych, stosować nie możemy:

--o-a-ie-ie-a-ie-ie--y-a-ie-o---e-e-.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza „Bez dogmatu" (powieść); 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 10

Logogryf: K. Don, Hania, Pasek, Satyr, brama, sanna katar, tyfus.

Kwadrat magiczny: Śliwa, Albin, Krata, Wanda, piędź.

Okienko: Kama, Amur, Mura, Aral.

Rebus: Rodzice kochają swe dzieci i dzieci rodziców też czasem

Zagadka literacka: Asan. Na srebrnym globie, Hetman Zaporoża, Emancypantki, Listopad, Listy z Afryki, Irydyon

Zadanie do uzupełnienia:

T łusty czwartek co rok bywa,
Każdy na pączkach używa,
A uczniowie w szkole siedzą
I nic o pączkach nie wiedzą.

Łamigłówka: Tłusty Czwartek.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Bielańska Warszawa, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejewski Winnica. H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, J. Opolski Łódź, S. Piekarski Poznań, M. Wysocka Jasło. J. Bielawski Rzeszów, J. Jabłoński Lublin, Z. Zawadzki Wadowice, S. Zajączkowski Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, H. Walewska Kraków, J. Martynowicz Kraków, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, K. Zborowski Lwów, S. Balicki Radom, W. Raczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamecka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, K. Grzybowski Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Bielańska Warszawa (Album), 2) K. Zborowski, Lwów (Kalendarz). - Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.